

Czarne Niebo R.E.D.

Rozdział o

Prolog

Niebo. Czarne, poprzecinane czerwonymi wstęgami zachodzącego słońca. Ciemne chmury, jakby pogrążone w egzystencjalnym zamyśleniu wolno sunęły w nieokreśloną stronę. Zanim wychodziły na spotkanie nicości, skrzętnie schowanej za horyzontem, zatrzymywały się na chwilę w jednym miejscu. Krążyły, niczym sępy wokół rozłożystej, pięknej korony wielkiego orzecha. Tak jakby delektując się wspomnieniami z nim związanymi, nabierały pędu i równocześnie powoli rozpływały się w powietrzu. Chwilę przed ich całkowitym unicestwieniem, nim pozostawały ledwie mgłą, odrywały się od nieokreślonego punktu w centrum i kontynuowały swoją wędrówkę. Potem już tylko leciały, prosto, jakby ożywione nieznanym bodźcem. Geneza i cel tej podróży wydawała się być prosta niczym drut.

Na początku był ból. Ból, wyłoniony z chaosu lub chaos wyłoniony z bólu. Nie miało to w gruncie rzeczy znaczenia gdyż efekt był jeden - eksplozja emocji, odczuć i wspomnień. Mimo iż wiele rzeczy prosiło o uwagę odzwyczajonego od takiego natłoku informacji mózgu, on jeden był jasny, czytelny, pozbawiony podtekstu. Coś go bolało. Było to wspamiętałe, czyste uczucie w swojej prostocie.

Ze zmysłów najpierw wrócił słuch. Tak się przynajmniej domyślał, ponieważ słyszał delikatne ocieranie się miękkiego materiału o bawełnę, swój głęboki oddech, może także i bicie serca. Jednakże nic poza tym. Naprawdę specyficzne to uczucie, gdy nie słyszysz głosu miasta, śpiewu ptaków, czy nawet szumu elektronicznych przyrządów. Nie ma także całkowitej ciszy - coś mimo wszystko słyszał. Była to obecność - tylko jego, ale wciąż obecność.

Potem zrozumiał, że na czymś leży. Czymś przyjemnie miękkim, pachnącym delikatnym środkiem do prania. Wtedy tak naprawdę poczuł, że *jest*. Czuł na twarzy lekki powiew powietrza, jak gdyby ktoś nierozważny otworzył okno, dostawał też niewielkiej gęsiej skórki, znajdował się najpewniej gdzieś, gdzie było dosyć chłodnawo. Wzdrygnąłby się, gdyby miał czucie w kończynach.

Wkrótce wrócił węch i smak. Z zapachów rozpoznawał tylko swoją, wątłą woń ciała ludzkiego, pomieszaną z neutralnym zapachem czystości rzeczy, na której leżał.

W ustach dominował głównie metaliczny posmak krwi. Chciał poruszać językiem, ale nie mógł, tak jakby on w ogóle nie istniał.

Przez dłuższą chwilę delektował się wszystkimi odczuciami. Nie mógł się zdecydować, czy przez cały ten czas spał naturalnym snem, czy wręcz zapadł w bezsenność śpiączkę. Cokolwiek się zdarzyło, zostawiło go w tragicznym stanie, skoro musiał być tak długo nieprzytomnym. Skupił się by otworzyć oczy - nie był pewien, czy tego chciał, ale musiał. Chłód wokół niego stawał się coraz bardziej nieprzyjemny. Ze wszystkich sił starał się otworzyć powieki, ale nie był w stanie tego zrobić. Nie czuł ich w ogóle.

W trakcie starcia ze samym sobą, dostrzegł w oddali zbliżające się światło. Na początku jasne, białe, potem czerwone, a na końcu mieniące się wszelkimi odcieniami fioletu, granatu i szmaragdu. Cokolwiek to było, leciało w jego stronę szybko, z każdą sekundą oświetlając coraz więcej nieprzeniknionej materii. A wokół nie było nic prawdziwego. Leżał na łóżku położonym na ceramicznych brązowych płytkach, płynąc razem z kawałkiem pokoju wśród oświetlonego miliardem gwiazd bezkresu. Nabierał prędkości, lecąc na spotkanie emanującego barwami obiektowi. Wkrótce zrozumiał - widział wszystko od początku, nie czuł powiek, bo ich nie miał. Spojrzał na swoje ręce wyciągnięte na kołdrze. Kości. Prawa ręka lśniła czystą bielą, a lewa urywała się mniej więcej na poziomie łokcia. Odsłonił kawałek materiału który go przykrywał i zobaczył ciało szkieletu. Nie musiał dotykać twarzy by wiedzieć, co wyczuje - puste oczodoły i wyszczerzony uśmiech truposza.

W milczeniu wpatrywał się w przybliżającą się niby gwiazdę. Nim pochłonęła go ciemność, zdążył zobaczyć co to było - wielkie, jak gdyby odrysowane grubym czarnym markerem oko, z bezkresem światła w środku.

Wciąż spał. Nie miał wobec tego wątpliwości. Był to jednak dziwny sen - z każdym dniem, w jego skrawku przestrzeni pojawiały się nowe przedmioty. Oczywiście dzień był dla niego porą, kiedy nie spał, a noc porą, gdy spał. Tak to sobie tłumaczył by mieć jakieś poczucie przepływu czasu, przynajmniej robił tak dopóki nie pojawił się zegar. Czasami szalał, ruszając wskazówkami na wszystkie strony, ale generalnie działał dosyć dobrze. Zaraz po nim zaczęły rysować się ściany, bardzo szybko, w porównaniu z innymi elementami pokoju, ale nie jako pierwsze. Potem powstawały elementy mebli jak nogi do krzeseł czy blat stołu, czasami wyglądało to dziwacznie, gdy gotowe były dwie nogi i oparcie, a siedzenia krzesła nie było. Nigdy jednak nie widział żeby *cokolwiek* powstawało. Gdy się budził, co było niedorzeczne, gdyż przecież sam przez cały czas spał, one już były. Tak jakby one nigdy się nie zmieniały tylko zawsze tam były, tak jakby to on cały czas się zmieniał. I tak się właśnie działo. Z czasem kości zaczęły pokrywać się zielonym mięsem, tylko po to by z każdym kolejnym dniem czerwienieć i wypełniać się życiem. Wszystko jednak występowało nieregularnie, gdy widział jak jego lewa noga była już prawie normalna,

to znaczy zdrowa, jego prawa ręka wciąż była na poziomie kończyny dotkniętej ciężkim stopniem rozkładu. Ból, który wcześniej odczuwał, metafizyczny raczej, został zastąpiony bardziej przyziemnym bólem zranionej skóry czy naderwanych organów wewnętrznych.

Była jednak inna, bardziej niepokojąca rzecz. Nie był sam. Oko, które napotkał wcześniej, zawsze było z nim. Czasami odpowiadało na jego pytania, czasami nie. Czasami rozmawiali ze sobą, czasami on tylko słuchał co Oko ma do powiedzenia. Rozumiał oczywiście, że nie rozmawia z oszalałym produktem szalonego optyka, ale reprezentacją woli kogoś, kogo nie zna. Pamiętał gdy rozmawiał kiedyś o czymś podobnym z jedną osobą - są ludzie, którzy potrafią manifestować swoją obecność w sposób inny niż czysto fizyczny. Wiedział tylko, że on tego nie potrafił - jakakolwiek pewność działała na niego uspokajająco, nawet taka bezsensowna jak pamięć o odległej rozmowie, ale ona działała niczym najlepszy psycholog. Nie mógł jednak powiedzieć, kto znajdował w kogo umyśle - czuł, że jest 'u siebie', ale oko było potężne. Wątpił, czy gdyby nawet chciał, mógł się go pozbyć. Ponadto czuł, że na pewno nie powinien tego robić.

Ku jego zaskoczeniu, pojawiały się także inne postacie. Nazywał je Obrazami - były tam, mógł je poczuć, widzieć, posmakować. Były to ludzie i czworonożne istoty. Rozmawiał z nimi, śmiał, spał. Myśląc o nich, wciąż nie mógł się zdecydować czym tak naprawdę były. Nie był pewien, czy był świadomy wszystkiego, co z nimi robił. Ale to one najbardziej mu pomogły z powrotem do zdrowia. One i okno, które pojawiło się po pierwszych paru tygodniach. Zupełnie nagle, bez powodu można powiedzieć. Jednego dnia była surowa ściana, pomalowana na białą, drugiego już całkiem duże szklane okno z drewnianą framugą. Epatowała z niego nienaturalna dla tego miejsca aura realności. Był pewien, że ono nie było kolejnym wymysłem jego dochodzącej do siebie psychiki - było to naprawdę jego okno na świat. Ten prawdziwy. To odczucie było tak potężne i oszałamiające, że bardziej był pewien istnienia tego okna niż swojej egzystencji.

Przez wiele dni wpatrywał się w nie, po części ze znudzenia, po części z czystej ciekawości. Widział tam praktycznie wszystko - wielkie, osnute mroczną mgłą metropolie, zabieganych i przytłoczonych swoim nędznym żywotem ludzi, piękne łąki deptane leśną fauną, sielankowe wioski pełne czworonożnych istot, pola bitwy usłane trupami i sypialnie młodego małżeństwa. Śmierć, życie, radość i przygnębienie. Coś, może właśnie Oko podpowiadało mu, że to wszystko się właśnie dzieje teraz, gdy on jest zamknięty w tym niby świecie. I wiedział, że to prawda. Szczególnie wpadła mu w pamięć scena gdy wielka biała istota z wielkim rogiem na głowie dumnie kroczyła wśród dostojnie ubranej świty. Zawsze, co rano, mała grupka kierowała się ze swoją Królową by rozpocząć odwieczny rytuał i zawsze okno to pokazywało. Nietuzinkowe zjawisko, można by odnieść wrażenie, że dzięki tej osobie wschodziło słońce. Nie

potrafił powiązać tych dwóch rzeczy ze sobą, pamiętał przecież, że wschód słońca zależny jest od położenia planety w stosunku do gwiazdy wokół której oscyluje. Ale jeden konkretny widok wyjątkowo niepokoił zebrane przy Królowej osoby - każdy wschód był wściekle czerwony. Za każdym razem gdy to się działo, Królowa krzywiła gniewnie usta w geście zde gustowania, a jej świta reagowała różnymi reakcjami, od strachu po spokojną refleksję. Jakkolwiek by tego nie interpretować, najwyraźniej nie było to czymś, czego oczekiwali. Jego jednak wcale to nie niepokoiło - lubił czerwony.

- Lubisz czerwony - stwierdziło Oko.

Owszem, lubił. Przecież dopiero co o tym pomyślał.

- Jesteśmy w twojej głowie, jak mógłbym nie wiedzieć?

Nawet nie zadał tego pytania, bo wiedział, że odpowiedź już na niego czeka. To jak rozmowa z nagrany m przez siebie filmem, obejrzanym sto razy. Szybko stawała się męcząca.

- Czemu oni tak bardzo obawiają się tego czerwonego wschodu? - Spytał, przygryzając jednocześnie przywieziony przez jeden z Obrazów kawałek mięsa. Wieprzowiny chyba. Krwisty, ale smaczny. Lubił ten Obraz który mu to przywiózł, zawsze chętnie dotrzymywał mu towarzystwa, potrafił gotować.

- Obawiają się, ponieważ po raz kolejny widzą taki wschód słońca. Nie tego chcą od ich pani. Mimo, że dawno zapomnieli jak to jest, przeczuwają nadchodzące zmiany. - Oko zarechotało cicho, metaforycznie oczywiście. - Jak to mówili u was? *Wschodzi czerwone słońce, w nocy przelano krew?*

Zamilkł, gdy usłyszał uwagę o rzekomych 'nich'. Czuł, że gdzieś wspomnienia o nim i o jego mu podobnych są ukryte głęboko w jego świadomości, ale jakkolwiek by nie chciał, nie mógł do nich dotrzeć. Z zamyślenia wyrwał go miły, z długimi blond włosami Obraz, proszący go by usiadł. W milczeniu spełnił jego prośbę, czując jak poduszki za jego plecami są wymieniane na nowe. Mimochodem rzucił wzrokiem na wcale nie delikatne wycięcie w bluzce Obrazu. Jak w tych wszystkich opowieściach o szpitalach i pielęgniarkach. Obraz, widząc jego wzrok uśmiechnął się figlarnie i zatrzepotał rękami. Ze znużeniem zamknął oczy i osunął się na łóżko.

W czasie swojej rekonwalescencji, spotkał co najmniej z tuzin owych Obrazów. W większości były płci żeńskiej, mimo iż niektóre dzieliły dziesiątki lat różnicy, przynajmniej w wyglądzie, każdy był w swój sposób urodziwy. Przeważały długie, jaskrawe włosy, pociągłe i łagodne twarze, wielkie oczy i zgrabne sylwetki. Zdarzały się jednak takie jak starszy, z siwym warkoczem Obraz, najlepiej gotujący i bardzo inteligentny, często wdający się w dyskusje. Dosyć szybko zauważył, że wszystkie uważały go za kogoś, który koniecznie musiał szybko wrócić do zdrowia, dla jego i ich dobra. Nie przypominał sobie, by ktoś był równocześnie tak miły i troskliwy w stosunku do niego. Niektóre miały do niego anielską cierpliwość, odpowiadając na jego pytania w nieskończoność, niektóre były pełne życia i niecierpliwe, chcąc mu służyć w bardziej przyziemny sposób. Co ciekawe, mniej więcej połowa była tak jak on, dwunożna, a połowa czworonożna. Nie wszystkie jednak spełniały wszystkie i te same czynności, niektóre nie ruszały niczego co nie było w ich sferze zainteresowań.

Tak jak nigdy siwy Obraz nie towarzyszył mu w nocy, tak młodszy i figlarny nigdy nie gotował mu pieczeni. Najrzadziej spotykał męskie rodzaje tychże istot. Regularnie przychodził do niego czworonożny Obraz w stroju lekarza, badając go i dając mu rady jak powinien sobie radzić z nękającymi go problemami. Raz spotkał jeszcze wysokiego, postawnego mężczyznę odzianego w dawną, stalową zbroję który przez paręnaście minut wpatrywał się w niego bez słowa, a potem zniknął za drzwiami. Do samego końca nie był pewien, czym one tak naprawdę były, a na jego pytanie, czy są one wytworem jego wyobraźni, Oko odparło, żeby sobie nie schlebiał zbyt bardzo i nie powtarzał tego przy nich, bo mogą się obrazić.

Westchnął głęboko i przymknął oczy, te rozmyślenia tak naprawdę nie miały żadnego sensu w jego obecnej sytuacji.

- Długo mnie tu jeszcze będziesz trzymał?
- Tyle, ile będzie trzeba. Spójrz na swoją rękę. Prawą oczywiście.

Leniwie uniósł powieki i wyciągnął ją przed siebie. Czarna, jakby zwęglona, ale w pełni operatywna. Mimo przebijających się gdzieś gdzieś kości i wypływającej z przeciętnych żył krwi. Gorzej się miała jego lewa ręka - co prawda do mniej więcej trzech czwartych była już niemal nie do odróżnienia od zdrowej, to urywała się zaraz przed łokciem i był tam tylko żałosny kikut. Z bandażem, ale wciąż kikut.

- Nie odzyskasz już jej. Pamiętasz jak ją straciłeś?

Pamiętał i jednocześnie nie pamiętał. Miał w pamięci huk, ból, straszliwe wyczerpanie, chłód wieczora i głosy osób które kiedyś znał. Walkę, którą stoczył już mniej, ale nienawiść której wtedy doznał i którą sam wywołał odbijała się co jakiś czas w jego psychice. Do tego, że zostanie kaleką przyzwyczaił się dosyć szybko. Mógł być szczęśliwy, że w ogóle żyje. Dopóki jednak tkwił w tym świecie zawieszonym między niczym, nie potrafił odczuć jakiegokolwiek większej radości.

Spojrzał po raz kolejny po pomieszczeniu w którym się znajdował. Zmieniał się bardzo szybko. Było go już na tyle dużo by mógł z całkowitą pewnością stwierdzić, że znajduje się w pomieszczeniu szpitalnym. Ściany były pomalowane na białą, z szerokim na jakiś metr zielonym paskiem, ciągnącym się zaraz przy podłodze. Po jego prawicy znajdowała się staroświecka kropłówka z workiem krwi zawieszonym na niej - co było dziwne, bo nigdy nie był do niej podłączony. Zgadywał, że był to tylko element wyposażenia. Dalej za nią znajdowało się drewniane, najwyraźniej dębowe biurko z lampą naftową, odkąd się pojawiła, zawsze czuć było delikatny swąd nafty od niej. Mimo tego, że wielokrotnie prosił Obrazy by się jej pozbyły, co te chętnie czyniły, ona zawsze wracała. I tak było praktycznie z każdą rzeczą, jeśli coś się pojawiała, zostawało tam na zawsze. Jako że nie miał siły walczyć z wszechmogącym architektem tego pokoju, dał sobie szybko spokój. Dalej mieściło się okno, a zaraz przed nim znajdował się powieszony na haku jego strój. Pojawił się jako jeden z pierwszych, zanim jeszcze utworzyła się ściana i hak na którym wisiał. Z jakiegoś nieokreślonego powodu pamiętał go bardzo dobrze - utwardzany płytkami grafenu, kontrolowany i wspomagany nanomaszynami egzozkielet, wersja AA301 z limitowanej edycji Fabryki Uzbrojenia i Ciężkich Maszyn Arma s.z.o.o. Opracowany z

pomocą korporacji NanoTech.Team i z dostępem do technologicznych sekretów Officium. Sam się zdziwił gdy te myśli przyszły mu do głowy. Rozumiał może z połowę tego co pomyślał, ale wiedział, że to wszystko to była prawda. Musiał jednak jeszcze zrozumieć, czemu to jest prawda, co już nie było takie proste.

Teraz jednak z jego pancerza został smutny szkielet tego, czym był. Wydawało mu się, że z każdym dniem, gdy on czuł się lepiej, jego zbroja odrobinę niszczała. Płytki odpadały, metalowe części pokrywały się rdzą a farba blakła. Nie był w stanie wstać i podejść do zbroi, a naprawdę by chciał. Czuł się źle z faktem, że gdy ta uratowała mu tyle razy życie, on mógł tylko patrzeć jak powoli niszczeje. Wydawało mu się, że to wyjątkowo niewdzięczne z jego strony. Mógłby jednak przysiąc, że gdyby ten kawałek inżynierskiego cudu mógł mówić, powiedziałby mu, że robi to dla niego. Po chwili zawsze robiło mu się głupio pod wpływem tych myśli, nie zdarzyło mu się jeszcze nawiązywać emocjonalną więź z przerośniętym kawałkiem węgla. By było bardziej dla niego przygnębiająco, to była jedyna rzecz która niszczała w tym pokoju. Reszta albo radośnie się tworzyła albo właśnie przechodziła wiosnę swojego życia. Nawet Obrazy wyglądały smutniejsze gdy tylko napotykały wzrokiem jego pancerz. Raz spytał Oko, czemu tak się dzieje, odpowiedziało mu tylko wymowne milczenie. Wiedziało czemu tak się dzieje, ale nie chciało mu powiedzieć.

Zaraz po lewej były drzwi. Ładne, całkiem duże i impregnowane jakąś ciemną emulsją. Nie potrafił rozpoznać drewna z którego było, ale wyglądało na takie, na które niewiele osób byłoby stać. Wyróżniało się dosyć poważnie na tle reszty wyposażenia, nowego, ale surowego. Czasami zabawnie to wyglądało, gdy one były już gotowe, a ściany jeszcze nie. Zdarzało się wtedy, że obrazy wchodziły przez nie do pokoju i znikwały w gwiazdnym bezkresie za nimi. On oczywiście nigdy nie widział, co było w środku framugi bo drzwi otwierały się w jego stronę. Zawsze go dziwiło, że w stosunku do innych, bardziej ważnych przedmiotów jak same ściany, takie szczegóły pojawiały się bardzo szybko. Jak gdyby samą swoją obecnością mówiły, że w jakiś sposób są ważne.

Przy jego lewym barku znajdowała się niewielka szafka nocna a na niej czarny, matowy futerał z dwoma wystającymi rękojeściami. Niewielkimi srebrnymi literami były napisane kursywą imiona dwóch noży którym tak wiele zawdzięczał. Nie czuł nic do nich poza lekką tęsknotą, ale Obrazy, niezależnie czy ludzkie czy nie, omijały z daleka tę szafkę i pozostawały głuche na prośby związane z nią. Żaden nawet nie odważył się podejść i przesunąć ją na tyle by mógł nieco rozprostować kości, nie uderzając za każdym razem o krawiec mebla. Gdy był sam, wielokrotnie próbował podnieść futerał, by po raz kolejny podziwiać kunszt tej broni. Jednak za każdym razem, niezależnie jak mocno próbował, futerał był ciężki niczym kowadło. W żaden sposób nie potrafił go poruszyć, szafka i on były jakby do siebie przyspawane. Nawet podważanie nożem kuchennym i zdrapywanie sobie paznokci na drewnie nie pomagały. Równie dobrze mógłby podnieść samego siebie. Na dodatek, w głębi ducha głęboko zastanawiał się co mógłby zrobić z dwoma nożami, gdy ma jedną rękę. Może czas na naukę walki nożem stopą? Albo zębami? Zawsze bawiła go ta wizja,

ewentualnie myślał o doczepieniu noża zamiast ręki. Miałby przynajmniej jak kroić swoje posiłki. Oko też najwyraźniej bawiły takie rozmyślania, nigdy oczywiście się nie śmiał, ale jego rozbawienie się po prostu czuło.

Ono towarzyszyło mu od początku. Na początku tylko było, co było dosyć niepokojące. Wkrótce zaczęło do niego przemawiać, nie jak wróg, ale raczej jako opiekun. Albo ktoś, kto wkrótce coś będzie od niego chciał za dotychczasową pomoc. Czasami znikало na całe dni lub tygodnie, tylko po to by wrócić niespodziewanie z jakąś niezrozumiałą nowiną lub informacją. Nie zawsze je słuchał, bo często mówiło zagadkami lub celowo omijało całą prawdę. Ale nie było czuć kłamstwa, co było już czymś. Miał też okazję przyjrzeć się mu z bliska. Wyglądał bardzo prosto, jak rysunek sprzed tysięcy lat, ale jednocześnie mistycznie i ponadczasowo. Jak gdyby ktoś uformował podłużny kawał obsydianu, polerował go i ukształtował z niego lekko przymrużone, uproszczone oko. A w środku ustawił mniejsze koło, symbolizujące tęczówkę i idące od niego trzy kawały obsydianu, niczym mosty łączące wszystko w całość. Z centrum emanowało specyficzne, fioletowo-granatowe światło, nie było zazwyczaj oślepiające, ale nie dało się na nie patrzeć dłużej niż kilka sekund. Po zbyt długim wpatrywaniu się człowieka zaczynał nachodzić niepokój i przemożne wrażenie buszowania w swoich myślach kogoś niepożądanego.

Czuł także obecność czegoś, lub kogoś jeszcze. Tak naprawdę miał świadomość, że nawet, gdy nie było żadnego Obrazu czy nie było Oka koło niego, coś go obserwowało. Czasami w nocy słyszał dźwięk podobny do szalonego drapania za ścianą, jak gdyby rozwścieczone zwierzę próbowało przebić się przez beton do jego pokoju. Podobnie, gdy zapadł już mrok, widział kątem oka za oknem niewyraźne cienie przemykające na skraju pola widzenia. Był też niemal pewien, że było więcej tych cieni niż jeden, bo wielokrotnie słyszał wściekle szuranie dochodzące ze wszystkich stron. Fakt, że Obrazy i samo Oko przybywało z zewnątrz go niepokoił. Na jego pytania o to, Obrazy reagowały wyjątkowym dla nich płomiennym gniewem i pewnym rodzajem przestachu. Oko zawsze poważniało i zapewniało, że gdyby oni mogli go zabić, to zrobiliby to dawno. Musiała to być prawda, skoro dalej żył. Z czasem nauczył się to ignorować, a wkrótce istoty odeszły na zewnątrz.

- Już pora - stwierdziło pewnego dnia Oko, pojawiając się przed nim, gdy on wpatrywał się jak zwykle w okno. Skinął powoli głową, przeczuwając, że wkrótce to się wydarzy. Od dawna jego ciało wróciło do normy, pomijając oczywiście straconą rękę. Obrazy zaczęły robić się coraz bardziej rozgoryczone, a Oko coraz częściej znikало na długie dni. Nie wrócił jednak całkowicie do zdrowia - nie pamiętał wszystkiego co się wydarzyło w przeciągu ostatnich miesięcy, miał tylko niejasne przeczucie, że było to coś zupełnie dziwnego. Co gorsza, mimo wiecznej nudy, podobała mu się spokojna prokrastynacja tutaj. Miała coś uspokajającego i regenerującego w sobie.

- Obawiasz się pewnie tego, że nie pamiętasz dużo? - Spytało Oko, wpatrując się w niego badawczo. Wcześniej zauważył, że im dłużej byli ze sobą, tym rzadziej i tym gorzej Oko odgadywało jego myśli.

- Mhm... - mruknął. - Obawiam się tego, co chcesz mi powiedzieć tam po drugiej stronie. I tego, czego ode mnie będziesz chciał w zamian za tę pomoc. - Zrobił parę głębokich oddechów. Tak, jak go dawno uczyli - głęboki wdech, wciągając jednocześnie brzuch i powolny wydech, stopniowo się rozluźniając.

Odpowiedział mu tylko śmiech. Nigdy nie potrafił ocenić, czy było to szczere rozbawienie czy sucha reakcja na komiczną dla oka rzeczywistość.

- Zanim zaczniemy... Albo nie. I tak nic nie pamiętasz - stwierdził jednak po chwili jego lewitujący towarzysz. - Pamiętaj tylko, że jestem jedyną osobą której możesz tam ufać.

- Jasne... Więc co mam robić? - Odparł, nieco zaskoczony tym nagłym stwierdzeniem. Oko wydawało się być na tyle poważne na ile mogło, powoli zbliżało się do niego, a z każdą chwilą gdy było bliżej, kolejna część pokoju rozsypywała się, ukazując gwiazdną przestrzeń.

- To co zwykle. Siedzieć i czekać na ratunek.

Oderwał wzrok od pustki i spojrzał na Oko.

- Nigdy, nigdy o tym nie zapomnisz. Jesteś niczym i wszystko co zrobisz jest niczym. Możesz tylko przegrać. Ty, oni i wszyscy na kim ci zależy zginą.

Emanowało ciemnym, brunatnym światłem. Było bardzo blisko, na wyciągnięcie ręki, jakby celowo go prowokując i oczekując reakcji. Czuł jak pokój faluje, a słowa odbijają się echem wśród przestrzeni.

- Nawet jeśli mnie zabijesz, to i tak nic nie zmieni. Przegrałeś dawno temu i teraz pogrążasz się w dole który sam wykopałeś.

Nie przestawało, głos przekształcał się, przechodząc płynnie między piskiem a głębokim hukiem. Co jakiś czas przeplatały się znajome nuty.

- Jest w nim coś... coś wartego naśladowania. Widziałam jak walczy z tobą. Pozbawiony skazy, skupiony tylko na celu. Lojalny do końca. Odważny i honorowy... Że czasami znajdujemy samozwańczych magów w... hm... nielogicznych okolicznościach. Bez różnych członków, rozszarpanych czy po prostu szalonych. Dlatego właśnie istnieją takie urządzenia jak Bariery, Stabilizatory czy Niwelatory. Usuwamy nasze emocje by stać się lepszymi, robimy to po to byśmy poprzez naukę mogli spełnić nasz cel. Teraz jest pod nadzorem Grupy Technologicznej. Jest tam gdzie wszystkie ważne cele- w Laboratorium. 176 piętro najprawdopodobniej. Mam nadzieję, że nie chcesz się wpakować w kolejną awanturę? Ale na imię mam....

Z każdym kolejnym słowem każda kolejna samogłoska stawiała się mniej zrozumiała, ton osiągał nieprzyjemne dla ucha poziomy, Oko przybliżało się do niego wirując i mieniając się wszystkimi kolorami tęczy, a on czuł coraz bardziej ciężar swojej głowy, ugiętej pod swoim ciężarem. Próbował, ale miał coraz większe trudności by obronić się przed obcą wolą.

- *Musiał uciekać. Tylko tak mógł się ratować. Za wolność zapłacił życiem parunastu osób, które stanęły mu na drodze. Tym sposobem wysłał paru drani do piekła i zapewnił sobie żalosną vegetację na obrzeżach cywilizacji. Hipnotyzuje tłumaczeniami, zwodzę palcami z ołowiu, sympatyzuje oczami zwróconymi do głowy. Widzę. Widzę, że potwór taki jak ja wciąż potrafi ochronić kogoś obcego lepiej niż ty swoją przyjaciółkę. Widzę że szukasz wrogów i błędów wszędzie wokół, a nie patrzysz na siebie. Widzę, że złość na siebie znajduje upust w nienawiści do innych. Rozumiem, że czas mojej zagłady nadszedł, co przemilczeć wolę, czuję te kolumny co zmiażdżą mnie i zostawią, kończąc mój żywot dziejowy. I czy o to w tym chodziło? Czy ma w ogóle jakiś sens próba stworzenia, może niedobrego, ale chociaż lepszego, świata? Czy już jest na to za późno? Czy on jest tylko przysłowiowym Syzyfem, skazanym na porażkę, dowiadującym się o swojej sromotnej porażce na samym szczycie? Skąd...*

- Starczy.

Monolog przerwało błyskawiczne uderzenie kikutem w szafkę - futerał z Łaską i Przebaczeniem wyleciał w powietrze, same noże wbrew fizyce i logice wypadły ze swojego więzienia, lecąc na spotkanie szafce ostrzem w dół. Uderzenie bolało jak szlag i wydało paskudne młaśnięcie. Oko, zupełnie niewybite z rytmu i nie przerywając, obróciło się nieco, tylko po to, by on wygiął się nieco do tyłu i z całej siły uderzył głową w metafizyczne ciało. Pokój implodował.

Obudził się w identycznym pokoju, ale koło niego nie było Obrazu, a żywy kolorowy koń w medycznej czapce, wpatrujący się wielkimi oczami w niego. Nim zdążył przyzwycząić się do światła lub coś powiedzieć, to, co najwyraźniej było pielęgniarką wybiegło z pokoju krzycząc o lekarza. Stukot jej kopyt o wypolerowaną posadzkę słyszeć było jeszcze długi czas.

- W całej mojej karierze, czegoś takiego jeszcze nie widziałem - odezwał się lekko rozbawiony głos, dochodzący ze skrytego w cieniu pokoju rogu.

Łapiąc się za rozbolałą głowę jedyną ręką, wpatrywał się w wychodzącego z cienia czarnego kuca w gwieździstym płaszczu i wielkim kołnierzu. Gdy ujrzał na jego tyłku takie same oko, jakie mu towarzyszyło przez te parę miesięcy wymamrotał parę słów, co było dla niego niemal tak trudne jak przesunięcie językiem szafy z ubraniami. Nie obyło się bez sapania i rozrzucania wszędzie na około śliny.

- Spokojnie, nad tym też popracujemy - mruknął jednorożec, zgrabnie omijając wilgotne krople. Przystanął gdy znowu zauważył próby kontaktu ze strony leżącego. - Wyglądasz paskudnie tak w ogóle, może lepiej by było gdybyś przespał jeszcze parę tygodni. - Cała ta sytuacja wydawała mu się najwyraźniej całkiem komiczna. - Co tam mówiłeś?

- Mówilem... - wycharczał z trudem Arbiter mimowolnie nasłuchując podekscytowanych, nadlatujących z daleka znajomych głosów. - Pieprz się, Houdini...